Dodatek do „Gazety Narodowej“

z dnia 31. Października 1897.

Katolicyzm w Anglii.

Niedawno z wielką uroczystością, obchodził Kościół katolicki w Anglii pamiątkę 13-to wiekowej rocznicy wylądowania o. Augustyna, przynoszącego z sobą chrześcijaństwo do Anglii. Obchód ten wywołał wielkie wrażenie w całem angielskiem społeczeństwie, które zrozumiało, że katolicyzm wstąpił jawnie, otwarcie na drogę propagandy i że przyznaje się do celu powrócenia całego narodu angielskiego na łono kościoła katolickiego. W świetle tego obchodu zrozumiano także, dlaczego Stolica Apostolska odmówiła w roku zeszłym propozycyi duchowieństwa anglikańskiego, ażeby Ojciec św. uznał jego kapłaństwo za Sakrament.

Obecnie przyszła wiadomość doniosłego znaczenia z Francyi. Kardynał Vaughan, który uczestniczył w uroczystościach kościelnych w Arles, zatrzymał się w powrocie do Anglii w Paryżu, aby inaugurować tam świeżo utworzone przy kościele św. Sulpicyusza bractwo Matki Boskiej Litościwej. Celem jego jest starać się o powrót narodu angielskiego do Kościoła katolickiego. Specyalne seminaryum dla angielskich duchownych będzie z polecenia Ojca św. otwarte w Paryżu, a na społeczeństwo francuskie kładzie Stolica Apostolska obowiązek moralny pomagania Anglikom w rozpoczętem dziele. Jak kardynał Vaughan powiedział, Ojciec św. dokładający nieustannych starań, aby zjednoczyć całe chrześcijaństwo, nie chce żadnego ryczałtowania Anglii i zostawia jej nawrócenie propagandzie indywidualnej. Obecnie jak głowa angielskiego katolicyzmu powiadamia, od 15 do 20.000 anglikańskich protestantów przystępuje co roku do katolicyzmu. Ruch jest powolny, ale systematyczny, stały, pewny i każdy nowy adept staje się źródłem i narzędziem propagandy. Bractwo, utworzone teraz w Paryżu, ma się przyłożyć do przyspieszenia tego dzieła i cały świat katolicki wzywany jest, aby nie przestawał zanosić za niem swych modłów. Przed kilku laty śmieliby się Anglicy z tej agitacyi. Dziś sprawa ta traktowaną jest już bardzo seryo i słyszeć można z ust niejednej wybitnej osobistości politycznej, że ten jeden fakt przeciwważa swem znaczeniem wszystko, co zaszło w Anglii od czasu tryumfu nad Napoleonem I i że przyszłość anglosaskiego świata w nową wkracza konstelacyę.

Kroniczka warszawska.

Warszawa, a z nią i ogół kraju jest ofiarny do tego stopnia, że za wzór służyć może wszelkim innym dzielnicom. Potrzeba było na pomnik dla wieszcza i dwakroć znalazły się w przeciągu niespełna dwóch miesięcy, potrzeba na wpisy dla studentów czy uczniów, a z datkami pospiesza każdy wedle sił swoich. Jakiekolwiekby były cele użyteczności publicznej, zawsze liczyć można, że pugilaresy nie pochowają się w czeluściach szczelnie opiętych tużurków. Tu muzeum przemysłu i rolnictwa, które powstało dzięki ofierze niedawno zgasłego hr. Ludwika Krasińskiego, tam Kasa Mianowskiego, osady rolne, Sobieszyn z fundacyi hrabiego Kickiego, Gościeradów hr. Suchodolskiego i tyle, tyle innych objawów dobrze pojętej obywatelskości. Takim obywatelem w szerokim stylu był też zmarły przed tygodniem kupiec, albo raczej przedsiębiorca tutejszy śp. Edward Czaban. Jeżeli też czyje imię zapisane winno być złotemi literami w herbarzu szlachetnych, to tego skromnego człowieka, o którym za życia wiedziało tylko niemniej skromne kółko dobrych znajomych, którego nazwisko nie odbijało się nigdy o uszy, a który zostawił w pamięci potomnych pomnik trwalszy niżli spiże.

Cześć ludziom, o których powiada poeta, że „szczęśliwi są na ziemi, bo swą śmiercią życie plenią. Do takich „pleniących życie“ należał bezsprzecznie śp. Edward Czaban. Wiedział on także, komu powierzyć wykonanie ostatniej woli, wybrał bowiem ludzi znanych z cnót obywatelskich pp. Aleksandra Czajewicza, dyrektora Towarzystwa kredytowego miejskiego i Adolfa Suligowskiego, adwokata przysięgłego, im powierzając osobiste doręczenie pieniędzy Akademii umiejętności i prosząc ich, ażeby ustnie objawili jego zamiary.

Nie ofiarnością wprawdzie, ale czynem bądź co bądź także obywatelskim nazwać muszę umożliwienie przez hr. Ksawerego Branickiego wioślarzom postawienia własnego gmachu. Towarzystwo to, które coraz większą zyskuje sympatyę u ogółu, długo jeszcze musiałoby się tułać po obcych kątach, gdyby nie prezes, który ofiarował pożyczkę na budowę siedziby. Tedy stanął gmach okazały na ulicy Foksal, dziś pierwszorzędnej, a do niedawna cichej i opuszczonej, i w ubiegłą niedzielę odbyła się inauguracya w prawdziwie pięknych apartamentach. Sala balowa jest wprawdzie jeszcze nie zupełnie ukończoną, co nie przeszkadza już teraz ocenić, że będzie ona jedną z najobszerniejszych w Warszawie. Równie okazałą siedzibę przygotowują sobie łyżwiarze, chociaż Towarzystwo to długo będzie musiało dorabiać się sympatyi, utraconej u ogółu przez sprowadzenie osławionej orkiestry Meydera. Wogóle życie klubowe, rzecz przed kilku laty jeszcze zupełnie prawie u nas nie znana, zaczyna na dobre się rozwijać, czego nie można nazwać objawem niepożądanym.

Może też nareszcie ci, którzy najwięcej przyczyniają się do rozbudzenia tego życia i którzy chętnie popierają zawsze wszelkie dążenia w tym kierunku, doczekają się również jakiegoś punktu zbornego. Mówię tu o literatach i dziennikarzach, jak dotąd chodzących bardzo luźnie, nie zespolonych z sobą i tworzących pomiędzy sobą skutkiem tego małe grupy i stronnictwa. Gdy się zważy, że podług przypuszczalnych obliczeń ludzi, bądź żyjących z pióra, bądź też pracujących na polu literackiem przy innych zajęciach, jest z górą 300, łatwo pojąć, jak konieczne się staje utworzenie klubu. Jak dotąd nie sięgamy jeszcze tak daleko i zadowoleni będziemy, jeżeli przyjdzie do skutku „Kasa przezorności i pomocy dla literatów i dziennikarzy“, której projekt wraz z petycyą przedłożyli jenerałowi gubernatorowi redaktorzy „Kuryera Warszawskiego“ i „Codziennego“. Z czasem, gdy już kasa taka zacznie funkcyonować na dobre, gdy przedewszystkiem wzmoże się w zasoby pieniężne, będzie mógł być utworzony jakiś klub, który połączy rozprószone po różnych redakcyach siły literackie. Wielką potrzebą byłby także jakiś syndykat, jakiś sąd honorowy, który by regulował stosunki wzajemne i nie dopuszczał, ażeby niesnaski, kłótnie wybiegały po za sferę interesowaną. Co prawda są autorzy i autorki, które lubią czynić około siebie pewien rumor. Bardzo słusznie w tej mierze zauważyła „Prawda“, że sposób reklamowania swej osoby bodaj przy pomocy brudu lub zgoła kratek sądowych dobry jest może w Paryżu, ale nie na naszym gruncie, nie wśród naszego społeczeństwa, które kłótniami wzajemnemi oddawna się znudziło i poważniej patrzy dzisiaj na zadanie prasy.

Przez wiele lat Benjaminkiem Warszawy było tutejsze „towarzystwo ogrodnicze“ i wszystko, co tylko wyszło z Bagateli, uchodziło za czyn doniosły, o którym obwieszczać trzeba było całemu światu. Każdy mówca wedle sprawozdań reporterskich był złotoustym, każdy projekt, chociażby gracowania ganków ogrodowych, wspaniałym, a już rozlosowywanie roślinek kwiatowych, pokojowych, wywoływało prawdziwy „trans“ zachwytu. Od pewnego czasu życzliwość dla zgromadzenia ustała i dziś zajęła jej miejsce jeżeli nie ostra krytyka, to przynajmniej zupełna obojętność. Na tę ostrą krytykę zasługuje sobie w rzeczy samej „Towarzystwo“, które w tym miesiącu urządziło przedewszystkiem wystawę przetworów owocowych i następnie jarmark na owoce. Co do wystawy, to naprawdę stała się parodyą tego, coby być mogło, gdyby zainteresowanie było większe. Kilka butelek niezłego zresztą wina porzeczkowego lub jabłecznika, trochę suszonej włoszczyzny, nieco doniczek i dużo mebli ogrodowych wyrobu chłopów litewskich — oto i wszystko. Na dobrą sprawę zawartość wystawy możnaby wywieźć na dwóch wozach drabiniastych; mówcy zaś i demonstratorzy z podwyższenia swego przemawiali do garstki zwiedzających, rzadko sięgającej ponad dziesięć osób. A szkoda, bo bądź co bądź zarówno p. Werner, jak pp. Boczkowski i Jankowski poświęcali swój czas i objaśnień udzielali chętnie.

Lepiej powiódł się jarmark na owoce, który i obesłany był odpowiednio i odznaczał się większem zajęciem interesentów. Transakcyi dokonywano nawet bardzo poważnych, a całość świadczyła, że jednak w kraju ogrodnictwo, albo raczej sadownictwo, duże zrobiło postępy.

Zupełna także obojętność zapanowała w prasie dla wyścigów konnych. Nie tak dawne to jeszcze czasy, gdy najpoczytniejszy „Kuryer Warszawski“ a w ślad za nim i inne pisma, zapełniały łamy swoje długiemi sprawozdaniami, obowiązkowo, dla dobrego tonu sportowego naszpikowanemi wyrażeniami angielskiemi i gdy publiczność chciwie chwytała opisy różnych „handicapów“, „steaplechase'ów“ i tp. Dziś ani śladu z tego wszystkiego! Z solidarnością, godną pochwały dzisiejsze sprawozdania wyglądają jak spisy suche, podobne do relacyi z giełdy albo targów. Stąd jesienne biegi nie budzą zbyt wielkiego interesu, a świat, ten świat arystokratyczny „la haute volée“, tak w niewielkiej ilości pojawia się w lożach, że jedynie totalizator, jak zwykle będący w oblężeniu gromadzi około swoich okienek zastępy żądnych wygrania amatorów.

Z nowości literackich notuję na razie ukazanie się w wytwornem wydaniu opisu podróży p. Stanisława Bełzy p. t.: „W stolicy Padyszacha“, powieść Walerego Przyborowskiego „Sokół królewski“, Zapolskiej Gabryeli „Wodzireja“, Trąmpczyńskiego Włodzimierza „Ukojenia“, prócz tego zaś półki księgarskie zaczynają się zapełniać już kalendarzami noworocznymi. Pan Bełza, jedyny u nas dzisiaj uprawia zaniedbany dział podróżniczy, który swego czasu tak chętny znajdował zastęp czytelników, że zaś pisze barwnie i żywo, więc i ta nowa książka niechybnie będzie gorliwie czytaną. O zaletach stylu, o tem cieple, jakie wieje zazwyczaj z każdej kartki utworów autora „Hindy“, nie potrzebuję się rozpisywać, „Sokół“ przeto czyta się z równem, jak i poprzednie powieści zajęciem. — „Wodzirejowi“ zarzuciłbym przedewszystkiem to, że autorka sięgnęła do osobistych stosunków wybitnych ludzi galicyjskich i przedstawiła ich w sposób tak przejrzysty, że to.. trąci nawet paszkwilem, albo raczej wynurzeniem osobistej zemsty.

Z kalendarzy rozmiarami i barwnością okładki, ale bynajmniej nie treścią imponuje „Albumowy“, wychodzący pod redakcyą poety Or-Ota (Artura Oppmana). Słabe to wydawnictwo, w którem jedyną okrasą stanowi nazwisko Wiktora Gomulickiego.

Na wystawie w salonie Krywulta znajduje się obecnie „Tragedya kobiety“, cykl obrazów artystki niemieckiej Costenoble. Nie chcąc naśladować krytyka z *Kuryera Warszawskiego*, który ze skromnością Zagłoby feruje wyroki z katedry... o sztuce malarskiej, wstrzymuję się z oceną tej sensacyjnej nowości, która na widzach pozostawia wrażenie przygnębiające.

ROZMAITOSCI.

Z teatru. Pięcioaktowy „Turniej“ p. Kozłowskiego, sztuka należąca do tak zw. koturnowych, a po raz pierwszy wczoraj u nas przedstawiona, jest placem, na którym do turnieju stanęły skłonności powieściopisarskie i dramaturgiczne autora. I to właśnie jest jej kardynalnym błędem, że pierwsze stanowczą mają nad drugimi przewagę. W każdym razie i jedne i drugie są zapaśnikami nieladajakiej miary, to też obraz ich walki, choć zakończony niestety zwycięstwem powieści, jest bardzo efektowny i silnie dramatyczny. Już to samo zresztą przemawiać musi na korzyść „Turnieju“, że akcya w nim nie obraca się na tle codziennych mebelków i równie codziennych tuzinkowych namiętnostek osóbek z tych dramacików bez liczby, którymi widzów teatralnych obecnie karmią sceny. Przeciwnie w „Turnieju“ wchodzą w grę namiętności potężne, tragiczne, jak burza wstrząsające ludzkimi duszami i wydobywające z nich prawdziwe ryki bolu i wściekłości, a nie salonowe pojedynki na słowa albo buduarowe dąsy. Czuć w „Turnieju“ drgnienia istotnie wielkich uczuć, wyrażone słowami mocnymi w scenach, napisanych z siłą i znaczna liczba takich scen dowodzi, że autorem ich był nie partacz, lecz talent. Dwa akty, z których jest właściwie złożony pierwszy akt i finał tragedyi sięgają wyżyn doskonałości, do których akty pośrednie wznieść się już nie zdołały.

Trzy są charaktery w sztuce, narysowane plastycznie i wypowiadające się w akcyi jasno, ale jeden z nich tylko, a to sam bohater, jest tzw. pierwszoplanowym. Andrzej Kat, malarz florencki jest konsekwentnie przeprowadzonym mistrzem po włosku pobożnym i po włosku mściwym, zawistnym aż do zbrodni i zaciekłym aż do obłudy. Obok niego stają równie silne choć nie tak wielkie postaci przyjaciela Pietra, szczerze oddanego swemu mistrzowi, otwartego i uczciwego i postać Bepiny, dziewczyny hulaszczej, niewahającej się dla zadośćuczynienia swojej zemście przed niczem, a zapominającej na poczekaniu o tem, co przed chwilą złego wyrządziła. Inne figury dramatu są jedynie upostaciowanymi uwagami autora, dodanymi dla zrozumienia działań głównego bohatera.

A bohater ten jest istotnie tragiczną postacią. Staje w końcu sztuki u celu swych walk i trudów, gnębi rywala w malarstwie, a nawet go zabija, zabija wiarołomną żonę, zyskuje za te czyny przebaczenie sądu, ale nie zyskuje sympatyi widza. W zemście zapędził się tak daleko, stanął w takiej sytuacyi, że po wyjściu z niej już tylko litość świadków może z sobą unieść na dalszy żywot.

Był malarzem, ubóstwianym w Florencyi aż do czasu, gdy się zjawił Wenecyanin Dominik, który na turnieju malarskim, czyli po naszemu konkursie okazał się godnym jego rywalem.

Andrzej, mistrz dawnej szkoły nieporównanym jest w rysunku, ale Dominik, reprezentant „młodych“ malnje poprostu barwami tęczy. Tak powiedziało jury konkursowe — średniowieczne i naznaczyło nowy turniej, w którym już tylko dwaj rywale wziąć mają udział. Który z nich lepszy namalnje wizerunek swego patrona, ten będzie ogłoszony mistrzem.

Obaj zabierają się do pracy z równym zapałem, ale z nierównymi siłami. Andrzeja one zawiodły. Ulęciała od niego dawna pewność ręki w rysunku, a co do świetności kolorytu, to ani marzyć mu o prześcignięciu Dominika, który ma jakąś tajemnicę wydobywania z farb kolorów złota topionego i lawy ognistej. Rodzi się tedy w jego umyśle zamiar wyłudzenia od Dominika tajemnicy mieszania farb, a narzędziem, które ma wydrzeć skarb artyzmu z duszy młodzieńca będzie żona Andrzeja, młoda i piękna Paola.

Paola podbije swoimi wdziękami Dominika i w zamian za uśmiechy i słodkie spojrzenia weźmie od niego sekret malarski. Paola stara się to uczynić, chodzi z szwagrem swoim do domu Dominika, aby mu pozować do obrazu Madonny, ale zamiast wziąć od niego cokolwiek, oddaje młodemu Wenecyaninowi własne serce. Andrzej wychodzi zwyciężony z konkursu i na domiar nieszczęścia w tejże samej chwili dowiaduje się, że mu żona uciekła z Dominikiem. Upokorzony mistrz i zdradzony mąż obmyśla zemstę. Idzie w pokorze do Dominika, wyciąga do niego dłoń przyjaźną i uznaje go wyższym od siebie.

Podbija sobie tym sposobem młodzieńca zupełnie i tak Paola widzi naraz męża swego od którego uciekła i kochanka, któremu chciała się oddać, splecionych jednym uściskiem. Budzi się w niej niesmak do takiej sytuacyi, sumienie się odzywa głośno i popycha ją w mury klasztorne. Zanim się furta zakonna na wieki za nią zamknęła, wychodzi jeszcze raz na świat i trafia właśnie na chwilę, kiedy Andrzej, posiadłszy już tajemnicę Dominika, z pomocą Pietra usuwa wysokie rusztowanie spod nóg swego rywala i o śmierć go przyprawia. Zjawia się sąd na miejscu zbrodni, a Paola, aby odpokutować grzech niewiary małżeńskiej, bierze na siebie winę śmierci Dominika. Andrzej nie pozwala na takie poświęcenie się. Rzuca się na nią ze sztyletem w ręku i zabija.

Artyści sceny lwowskiej odwykli nieco od wielkich tragedyi, ale wczoraj na ogół wywiązali się bardzo dobrze z zadania. Tylko drugorzędne postaci prezentowały się niezbyt szczęśliwie. Zato główni bohaterzy na tym szarem tle tem wypuklej występowali.

Przedewszystkiem znakomicie grał Andrzeja p. Chmieliński. Wiele scen uratowała tylko jego prawda i szczerość w grze. Obok niego stanęła pani Siennicka w roli kochanki Dominika, lekkiej Bepiny. P. Hierowski jako Pietro miał łatwiejszą rolę. Role dwojga kochanków Dominika i Paoli stoją o wiele poniżej tego, czego może dokonać na scenie pani Stachowiczowa lub p. Żelazowski. Rola matki Andrzeja tylko dzięki grze pani Ciechockiej, odbiła się od reszty, bo zresztą jest bladą równie jak rola Marka, brata Andrzejowego, który choć tragicznie umiera od szpady Dominika, jest zwykłym szablonem. Grał go z przejęciem się p. Wostrowski.

Bardzo piękna piosnka Carla w akcie czwartym jest kompozycyi p. F. Słomkowskiego.

Teatr był prawie że zapełniony, a widzowie ani sztuce ani artystom nie szczędzili gorących oklasków.

Wykradziony przez żonę. Ks. de Sagan, słynny paryski „viveur“ od wiosny pasujący się ze śmiertelną chorobą, został w tych dniach wykradziony z „kawalerskiego“ mieszkania, gdzie go wciąż napastowali wierzyciele. Wykradła go — żona, nie żyjąca od lat wielu z marnotrawcą, płaciła mu jednak znaczną pensyę, którą pobierał nie mniejszą od ojca swego, ks. de Talleyrand-Périgord, a mimo to ciągle był w długach. Księżna de Sagan zabrała go do rodzinnego pałacu, gdzie mu większe zapewni wygody i od wierzycieli zasłoni, a wraz z synem czuwać będzie u jego łoża. Mąż i ojciec marnotrawny umrze na łonie rodziny. Księżna jest córką barona de Seillière, zbogaconego na dostawach wojskowych.

Zagłodzony sprawozdawca. W Hawanie w d. 19 b. m. znaleziono na ulicy zwłoki sprawozdawcy londyńskiego czasopisma illustrowanego ***Black and White*** Fryderyka Hughes. Zginął on poprostu śmiercią głodową. Niedawno, podczas podróży po prowincyi Pinar del Rio hiszpańscy guerillasy okradli go ze wszystkich pieniędzy i papierów. Gdy zwrócił się ze skargą do komendanta, zamiast pomocy znalazł szyderstwo i niewiarę. Hughes musiał powrócić do Hawanny pieszo, o głodzie. Ponieważ odebrano mu paszport, nie mógł więc wykazać tożsamości swojej osoby, a nie miał też za co telegrafować do Anglii. Pozostała mu więc tylko — śmierć głodowa. Zmarły, jako sprawozdawca ***Black and White***, przyjmował udział w wyprawie przeciw Aszantom i w pochodzie na Nil.

Wiedeń dnia 29 października. Przed zamknięciem wczorajszej giełdy notowano kredyty 354·25, Kredyty węgierskie 388·50 Anglobanki 163·75, związku banków. 251·75, Unionbank 291·50, Länderbank 218·75, staatsbany 336·—, Lombardy —·—, kolej nadłabska 262·50, kolej północno-zachodnia —·—, tytoniowe 155·—, Rima 258·—, Alpiny 132·—, renta majowa —·—, Renta korony węgierskiej 99·75, losy turec. 61·10, Marki —·—.

ZAKOPANE.

Zmierzcha się...

Na zachodzie jeszcze czysty seledyn zasuwa się chmurami. Gwiazdy iskrzą się na coraz ciemniejącym szafirze, pod Gubałówką strzela jasny snop światła. To iluminują pomnik poległym braciom w 1863 r. w Wilnie i Warszawie, poległym w imię swobód i wolności Ojczyzny. Już ciemno zupełnie, zdala dochodzą odgłosy śpiewu. Góralka objaśnia mnie, iż to młodzież miejscowa śpiewa przy pomniku.

Porywam kapelusz i biegnę.

Na ciemnem tle nieba jaśnieją złote oświetlone gałęzie modrzewi. Od bramy cmentarnej widzę pomnik udekorowany zielenią i przybrany lampkami; przed pomnikiem transparent z białym orłem i pogonią w świerkowem objęciu, po za nim płonie słup żywicy. Na kolumnie wielki wieniec zielony z kolorowemi lampkami, szarfy się odeń zwieszają „Braciom poległym — młodzież polska“.

Postać kobiety żałobnej na kolumnie, wpół widoczna, niby wychylona z zielonych ramion wieńca, w migającem świetle lampki, po za dymem żywicy zda się ożywiać i drży bólem czy płaczem tłumionym. A ponad wieńcem nasz biały orzeł siedzi skamieniały, z dumną głową nad prawem skrzydłem wyciągnioną. Siedzi sztywny, niby wyczekując, na tle żałobnej krepy, co spływa od dwóch na krzyż złożonych sztandarów. W górze nad tem wszystkiem krzyż czarny z błyszczącym złoconym Chrystusem, a tam wysoko, wysoko lśni gwiazda wielka, jasna, na czarnem przestworzu.

Od pomnika brzmi śpiew choralny:

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Duszom poległych bądź miłościw Panie.

Wokół mnie ludzie przechodzą, rozmawiają, dzielą się wrażeniami, ale większość w skupieniu ducha słucha hymnu. I ta garstka zebranych sprawia wrażenie dawnych zgromadzeń pierwszych chrześcijan prześladowanych braci.

Ojcze, Panie, my Twe dzieci,
Płaczem, żebrzem, lepszej doli,
Rok za rokiem marnie leci
My w niewoli, my w niewoli!

Skargą okrutną modlitwa rozpacza. Ale cichnie niedługo i głos jakiś mówi. Przysuwam się bliżej. Właśnie słyszę słowa: „My nie mamy Ojczyzny, wspomnienie jej nam tylko pozostało“. Jezu! co on mówi? nie mamy ojczyzny? tylko wspomnienie.. O Boże! i czemuż tak beznadziejnym karmi nas przekonaniem. — A gdzież ten plon, co z siewu w grobach złożonego, a tak obficie krwią roszonego, zbierać mamy? Gdzie on?

Wracam na dawne miejsce i patrzę na krzyż na tle złoto czerwonych od blasku ognia modrzewi i na orła kamiennego. I zdaje mi się, że szykuje skrzydła do lotu, że sfrunie z piedestału swego i poszybuje po błękicie, wskazując nam drogę wolności i sławy.

O Chryste! Ty przecież kochasz tych, których doświadczasz. Więc wysłuchaj nas i skróć ten czas próby, Tyś przecież cierpiał za nas, więc czemuż nas tak doświadczasz? Panie, zwróć na nas oczy, my wierni Tobie choć sił już do cierpień nie staje, a chociaż nasz los okrutny wywoła bluźnierstwo, choć nam twarz skrzywi beznadziejną rozpaczą, to jednak serce wiarą bije „po sercu sądź, nie według słów“.

My wierzymy, my ufamy w przyszłość szczęśliwą, i pragniemy jej, jęczymy i błagamy Ciebie. Czy Ty, Boże nie słyszych skarg naszych i jęków? czy nie widzisz naszej męki i bólu. Prawda, my błądzimy, ale i kochamy bardzo. I czemużeś nam serca dał do wielkich czynów i poświęceń, do wielkiej miłości zdolne

My błądzić musimy i kochać ogromnie, boć my z tych olbrzymów bohaterów, bo my dzieci tej ziemi, którą przedmurzem chrześcijaństwa zwano. Może skarleli wolą czy duchem? O nie! nam tylko środków brak do działania przodków naszych. Daj tylko siłę, Boże, wytrwać do wyrocznej godziny swobody, godziny męczeństw nowych, mordów, ale i zmartwychwstania. Daj siłę ludziom okutym w kajdany, jęczącym pod batogiem, niech doczekają chwili wyzwolenia. Czy nie dosyć sił młodych i istnień starganych w bezowocnej walce cichej i upornej? czy nie dosyć szamotania się dusz w dwóch prądach woli i możności? O Chryste zlituj się Ty nad nami! Zapragnij i Ty modłów dziękczynnych i wolności słów! Niech skargi i błagania znikną z modlitw naszych. Wskrześ Ojczyznę naszą a jak po wielkiem dziele stworzenia sławił Cię twór Twój, tak buchnie w niebiosy radosny okrzyk zwycięstwa, wielki, święty hymn dzieci wolnej ziemi polskiej Daj nam orła białego, niech leci, wskazując nam drogę.

Nie znam innej modlitwy, nie umiem inaczej się modlić, bo zdaje mi się, że tylko ta modlitwa nie zakłóca harmonii w naturze, bo myślę, że ta nasza biedna znękana ziemia nią drży, że liść każdy nią dyszy, że każda trawka się nią chwieje, że nawet ten dym, co prostym słupem pnie się ku niebu, z nią bieży.

I patrzę na orła długo, długo... i zdaje mi się, że ożył i skrzydła rozwinął i lśnią srebrno-śnieżne pióra na jasnym słonecznym lazurze, i słyszę szum jego skrzydeł i oto płynie wielki, świetny, spokojny nasz orzeł, nasz orzeł biały!

O Chryste! cud to, czy senne marzenie? Jeśli to sen, zmień go w rzeczywistość. Tyś wielki, Tyś wszechmocny przecie!

Otwieram oczy szeroko. Przedemną na tle krepy czarnej zimny, kamienny orzeł, i noc w około, tylko zielono-żółte modrzewie w blasku płonącej smoły czerwonym się kąpią, jasnymi kontury kładą się na tem tle ciemnem i mgła rudo-krwawa, zmięszana z dymem włóczy się po drzewach oddalonych, a na ziemi zeschłe badyle i trawy jasno oświetlone świeczkami, na święto umarłych płonącemi na grobach, zdają się śmiać do mnie trupim śmiechem, co mówi tylko o znikomości.

Od czasu do czasu buchnie płomień wielki i krwawym blaskiem zrumieni drzewa i płoną w tym blasku, niby oblane krwią nieszczęśliwych ofiar bohaterskich, bezowocnych wysiłków.

Nademną żółty z jesieni wiąz drży złotymi listeczkami, pławiąc się w powodzi jaskrawej i szumi zlekka i z cichym szelestem opada listek po listku na ziemię, niby łzy...

Płacze razem ze mną... *W. T.*